

O dwa miliony.

Amerykańska powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył J. R.

I.

W wielkiej sali, znanej dobrze wszystkim zbrodniarzom całego świata restauracji „pod blaszanką“ w Nowym Jorku panował jeszcze ruch i życie. Była godzina dopiero dziesiąta, a dżentelmeni, uczęszczający „pod blaszankę“, nie zwykli byli przed północą rozpoczynać pracy. W głębi sali, zaciemnionej prawie zupełnie dymem z papierosów i cygar, widać było kilkunastu wykwintnie ubranych panów, grających w bilard. Inni, siedząc naokoło małych stolików, grali w karty lub domino. Od czasu do czasu rozlegał się po sali głośny śmiech, to znów słyszałeś, jak podniesiony jaki jegomość dla nadania swoim słowom większej wagi, uderzał pięścią w stół, zresztą jednak panował wszędzie wzorowy porządek i ład. Nic nie zdradzało charakteru miejsca ani gości. Ludzie, siedzący za bufetem i zajęci mieszaniem rozmaitych napojów wyskokowych, nie różnili się niczem od swoich towarzyszy po fachu, jakich się spotyka w każdej restauracji wschodniej Ameryki, a goście wyglądali po większej części na dżentelmenów, których zachowanie się i sposób wyrażania nawet znającemu tajemnice restauracji „pod blaszanką“ dawały dużo do myślenia.

Obcy mogli przychodzić „pod blaszankę“ bez obawy niebezpieczeństwa. Było bowiem prawo, przez wszystkich klientów tej słynnej na cały świat restauracji surowo przestrzegane, a zakazujące obrabowywania i mordów w murach restauracji, ażeby przez to nie dawać policji sposobności do wkraczania tam. Policja zresztą i tak rzadko się tam zjawiała. Za progiem restauracji, na przedmieściu Bowry, stanowiącym punkt zborny dla wszystkich szumowin społecznych New-Yorku, wychodzących w nocy na żer, prawo to, jakie zbrodniarze sami na siebie nałożyli, ustawało, traciło swoją moc. Człowiek, który był na tyle nieostrożnym, że „pod blaszanką“ wygadał się lub pokazał jakieś wartościowe przedmioty, albo pieniądze, był zgubiony. Skoro tylko przestąpił progi restauracji i stanął na ulicy, rzucało się na niego kilku łotrów, obalano go na ziemię i odbierano mu skarby, jeżeli zaś bronić się usiłował — i życie. Tak było i tak jest do dziś dnia; wymownym tego dowodem są kroniki policyjne, notujące po kilkanaście wypadków obrabowywania przechodniów i mordowania na Bowry w każdą prawie noc.

W jednym kącie sali przy małym stoliku, noszącym charakterystyczną nazwę „pauvau“, siedziało trzech ludzi, dwaj ogromnie wysocy, jeden średniego wzrostu. Ten ostatni miał w swojej twarzy i całej postaci coś, co przykuwało doń wzrok każdego. Twarz wcale przystojna, pociągła, ozdobiona długą, gęstą brodą, miała wyraz jakiejś dziwnej powagi; na czole widać było małe kępki włosów, spadające z tyłu prawie zupełnie całkowicie. Oczy, głęboko podkrajone, świeciły jakimś fosforycznym blaskiem. Surdut, trochę już wyszarzały, kazał przypuszczać, że był kiedyś świadkiem wspaniałych dni; dziś brakowało na nim już parę guzików i wogóle znać było, że z właścicielem jego nie jest najlepiej. Dwaj inni mężczyźni, siedzący obok, byli starannie ubrani i dobrze odżywieni, tak, że u człowieka, nie znającego tajemnic restauracji „pod blaszanką“, nie mogli obudzić najmniejszych nawet podejrzeń.

— No, Bill — rzekł jeden z nich, rzucając okiem na wielki zegar ścienny, wiszący nad bufetem — wyjedź-no z tymi wspaniałymi planami. Dziesiąta wybiła i czas do roboty już niedaleko. Przypuszczam, że masz wszystko w porządku, mój chłopcze, i że nam udowodnisz, żeśmy cię nie na darmo przypuścili do współuczestnictwa w naszym interesie — co?

Bill, do którego te słowa były zwrócone, zaczął obracać oczyma.

— Ciekawa rzecz — rzekł — że wszyscy genialni ludzie cierpią na kolosalny brak pieniędzy. Tak jest z malarzami, literatami, artystami dramatycznymi, politykami, wynalazcami i *last not least* ze złodziejami. Złodzieje kieszonkowi, dla których zresztą — mówił dalej, rzucając okiem na jednego z towarzyszy — mam zawsze pewnego rodzaju szacunek, zarabiają pieniądze za pomocą swoich pięciu palców, ubierają się ładnie wykwintnie, noszą wielkie jak pięści dyamenty i żyją sobie tak, jak dyrektorzy banków, ministrowie ko-

lei i inne drapieżne zwierzęta — haha! a jeżeli chodzi o wykonanie jakiegoś większego rabunku, jeżeli chodzi o zdobycie naraz milionów, wtedy musimy pomagać my, należący do arystokracji złodziejskiej, artyści że tak powiem...

— Do rzeczy, Billu, dowcipkowanie nie w porę — przerwał Billowi jeden z współsiedzących, do którego specjalnie odnosiła się uwaga o złodziejach kieszonkowych — ciesz się, żeśmy cię teraz, kiedy z tobą pod względem finansowym kruch, zaprosili do naszej roboty. Bah! Są przecież jeszcze i inni włamywacze...

— Do kroćset! — odezwał się nagle Bill. — Są jeszcze inni włamywacze i to dosyć znani — racya. Powiadam: racya! Jest ich do dyabła, ale żaden z nich nie dorósł mi do pięt! Czarta się pytać, na co ja zejść, ale teraz jestem: Bill Crookey, pierwszy włamywacz i rozbijacz kas w całych Stanach Zjednoczonych Ameryki!

Obaj inni skinęli głowami, a Bill umilkł na chwilę, poczem zaczął mówić szyderczo:

— Jednak wy macie, niestety, słusność. Na razie jestem goły. Bo też ja, jak się wyraził swego

kosowy, a otworzę bez szelestu, tak, według wszelkich prawideł naszej sztuki. Czyście zadowoleni?

— Brawo! Hurra! — zawołał Todd, uderzając pięścią w stół, aż się szyby w lokalu zatrzęsły — wspaniałe! kolosalne! i niech mnie dyabeł zje na śniadanie, jeśli nie porzucę złodziejstwa kieszonkowego, a nie zapiszę się do cechu rozbijaczy kas!...

Bill uśmiechnął się zjadliwie.

— Spróbuj — rzekł — jeżeli sądzisz, że te kilka łutów twego rozmiękczonego mózgu wystarczy przy naszej robocie. Przekonam cię jednak łatwo, że kradzież kieszonkowa jest robotą dyabelnie łatwą w porównaniu z rozbijaniem kas bezpieczeństwa.

— Dobrze, Bill, to pójdę do ciebie na naukę i praktykę.

— No, o tem potem. Naprzód pokaż dzisiejszej nocy, co potrafisz, a przede wszystkim każ przynieść whisky, bo mię tak w gardle pali, jakbym od czasu, kiedy przestał, tego biednego gardła nigdy nie odwilżał.

Następne godziny spędzili trzej nasi zna-

jomi przy whisky, którą kelnerzy coraz częściej przynosili na stół. Od czasu do czasu przysiadali się do nich jeden z panów kolegów, ażeby słynnemu Billowi złożyć uszanowanie. Dopiero kiedy na zegarze wybiła dwunasta, a restauracja poczęła się wypróżniać, wstali także i trzej dżentelmeni od „pauvau“ i wyszli do ciemnej już dzielnicy Bowry. Bez pożegnania rozeszli się i udali się — każdy dla siebie, jakby się nigdy nie znali — do stacji kolejowej, znajdującej się u stóp wielkiego wiszącego mostu, łączącego New-York z Brooklynem. Wszyscy trzej kupili bilety i odjechali tym samym wprowadzić pociągiem, ale w innych wagonach, do górnego miasta. Przybywszy tam, nie zmienili taktyki. Zupełnie oddzielnie szedł każdy swoją drogą i dopiero około pierwszej w nocy spotkali się razem na rogu Broadway i Avenue.

To, co teraz nastąpiło, odbywało się z błyskawiczną szybkością i dowodziło, że przygotowania były bardzo starannie i umiejętnie zrobione. Bill porozumiał się szeptem z towarzyszami, poczem wszyscy trzej przeleźli przez żelazną bramę, znajdującą się blisko ulicy i spuścili się po drugiej stronie bez szelestu na ziemię. Dwaj z nich znikli następnie w głębi dziedziń-

ca, trzeci położył się za bramą na ziemi i nakrył głowę płaszczem, tak, że zdawało się, iż go ciemność nocy nagle pochłonięła. Jak przyszli — cicho, ostrożnie, bez najmniejszego szmeru, tak teraz wszyscy trzej w jednej sekundzie znikli.

Na zewnątrz panował względny spokój. Ulice były puste. W regularnych odstępach czasu rozlegało się tylko to słabsze, to silniejsze echo kroków patrolującego policyjanta. Odgłos tych kroków stawał się coraz słabszy i słabszy i ginął wreszcie w oddali Avenue. I nastawała cisza. To znów słychać było przytłumiony huk pędzącego gdzieś w dali pociągu, sygnały okrętów, dobijających do brzegu, albo chód spóźnionych osobników, powracających w podnieconym stanie do rodzinnego ogniska.

Upłynęło już pół godziny, a w olbrzymim gmachu, w którym się mieścił bank, jeszcze się nie poruszyło. Strażnik, zniecierpliwiony, podniósł ostrożnie płaszcz, wylazł na bramę i bystrem okiem zbadał ulicę. Wtem — co to? — Lekki świst.

(Ciąg dalszy nastąpi).



...przy małym stoliku, noszącym charakterystyczną nazwę „pauvau“, siedziało trzech ludzi...

czasu wielki fałszerz pieniędzy, Jim Humphrey, który siedzi obecnie w Colorado, jestem największym optymistą, jaki się może znaleźć w lasach północnej Ameryki. Zarobię dzisiaj dziesięć tysięcy dolarów — jutro je przepię, przegram, stracę i znowu nie mam nic. Ale humoru chłopak taki, jak ja, nigdy nie straci! Tak, chłopcy! To wam udowodnię. Pomimo, że mój żołądek wyprawił mi formalne koncerty, przyłożyłem rękę do tego planu, który memu imieniu przyniesie chwałę. Oto jest!

Przy tych słowach wyciągnął z kieszeni papier, rozłożył go na stole i ciągnął dalej, podczas gdy obaj inni ciekawie pochylili się nad stołem:

— Patrzcie, chłopcy, tu jest bank — widzicie? Róg Broadway i Avenue. Tu znajduje się brama żelazna. Przez tę bramę my, to jest ja i Todd, przeleziemy, Graber zaś pozostanie na straży. Patrzcie! W dziedzińcu znowu druga brama. Przeleziemy ją i staniemy przed jednym oknem banku, któreśmy, ja i Lone Jak, ten mistrz złodziejski, już tak urządzili, że się da wyjąć całe z ramami i kratą. Znalazłszy się tam — no, *well*, to już mnie zostawcie, otworzę wam kasę jak orzech ko-